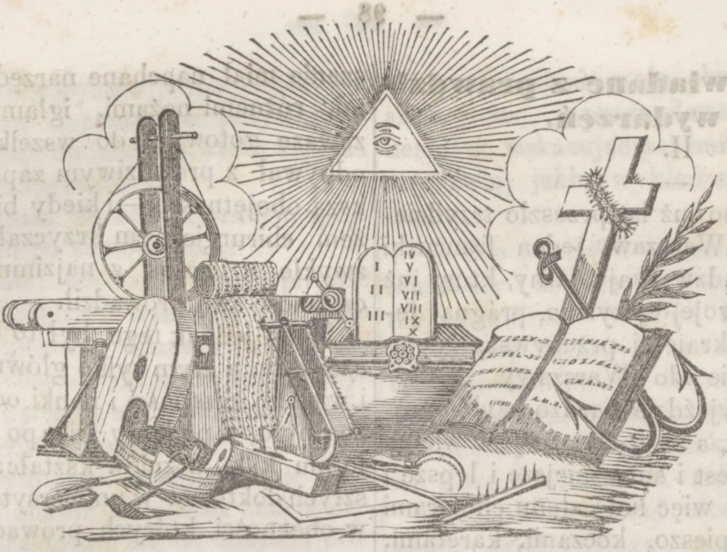
ROK DRUGI.

№ 13.

Warszawa

Dnia 17 (29) Marca 1857.

Niedziela 5ta POSTU.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

W każdéj rzeczy daj baczność na to, co czynisz, lub mówisz, i całą myśl swoję ku temu zwracaj, abyś się Mnie (Chrystusowi) jednemu podobał, a oprócz Mnie niczego nie żądał i nie szukał. (O naśl. Chrystusa K. I. Roz. XXV).

Siedm słów Zbawiciela na krzyżu.

5te Słowo: *„Dopełniło się.“*

Już Duch opuszcza ciało człowiecze,
W piersi za chwilę życie ustanie,
Chrystus ku niebu spojrzał, i rzecze:
„Dopełniło się o Panie!“

Zbrodnia już ludzka dobiegła miary,
Nad grzechu nocą błysło zaranie,
Prawda obala porządek stary,
Dopełniło się o Panie!

Krwi Zbawiciela strugi świętemi
Rozwarte czarne piekieł otchłanie,
Wieczne przymierze niebios i ziemi
Dopełniło się o Panie!

Za grzech Adama, za krew Ablową
Cichy Baranek na okup stanie,
Brzmiące przez wieki proroków słowo
Dopełniło się o Panie!

Już niewzruszona stoi opoka,
Na któréj kościół wieczny powstanie,
Zdroje nań łaski spłyną z wysoka,
Dopełniło się o Panie!

Przez Zbawiciela prace i trudy
Już kłos zielony wschodzi na łanie,
Co wszystkie głodne nakarmi ludy,
Dopełniło się o Panie!

Świat odrodzony w przeczystym zdroju
Po długich walkach z niemocy wstanie,
Pod cieniem krzyża spocznie w pokoju,
Dopełniło się o Panie!

I my, nim z ciała duch się wyzwoli,
Słysząc odwiecznéj prawdy wołanie,
Zamrzyjmy światu, i po Twéj woli
Spełniajmy dzieło Twe Panie!

A przyjdzie do nas królestwo Boże,
Prawda zaświeci, obłęd ustanie;
Tylko z miłością, w cichéj pokorze
Spełniajmy wolę Twą Panie!

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

II.

—

Dawno to temu, bo już lat przeszło trzydzieści, przyjechał do Warszawy jeden francuzki Chirurg, człowiek nadzwyczaj zdatny, który już wsławiwszy się w swojej ojczyznie, pragnął jeszcze zwiedzić inne kraje, i przebywszy Niemcy, zajechał wreszcie do Warszawy.

Wieść o jego przyjeździe bardzo szybko rozeszła się po mieście, a że u nas, co jest wielką wadą, zwykle obce, jest i smaczniejsze i lepsze i uczeńsze jak swoje, więc lud całemi chmarami cisnął się do niego pieszo, koczami, karetami, i w zamian za różne operacye, sypał hojnie groszem, o który także nie wszyscy podobno tak dbamy, jak wypada. Francuzowi i hojność nasza, i poszanowanie, jakiem go tu otoczono, widać bardzo przypadły do smaku, bo postanowił na dłuższy czas pozostać w Polsce, i w tym celu zwiedzał większe szpitale w kraju, aby się naocznie przekonać, jak instytuta te są u nas urządzone, chętnie w podróży udzielając chirurgicznéj pomocy, ile razy takowéj od niego zażądano.

Los więc tego człowieka, zdawał się być godnym zazdrości, bo miał młodość, miał talent w reku, który mu znakomite przynosił dochody, przytem cześć, poważanie, a nawet uwielbienie ludzkie; więc już nic mu nie brakowało, tylko chwaląc Boga, powinien był używać życia, które takiemi darami obsypane zostało. A jednak, był to człowiek prawie nieszczęśliwy; bo czy to skutkiem własnych smutnych doświadczeń, czy zawodów w życiu doznanych, czy też skutkiem swéj nauki, ktoréj głównie nabrał przy pokrajaniu przynajmniéj tysiąca trupów ludzkich, we wszystko, co wielkie, szlachetne, poczciwe, co porusza serce wiarą, co podnosi myśl ku Bogu, co stanowi chwałę natury ludzkiéj, on w to wszystko nie wierzył, i świat i ludzi widział tylko ze złéj strony, ze wszystkiego się śmiał, każdą rzecz wydrwił.

Dlatego też na twarzy tego uczonego człowieka, nigdy prawie uśmiech się nie pokazał, a z piersi nie uleciało pobożne westchnienie ku Bogu, którem człowiek pokrzepiony, śmiało przechodzi wśród kolców, trudu i mozołów pielgrzymkę swéj doczesności.

Odpowiednio do swego usposobienia pochmurnego, nosił się zwykle czarno, wszystkie kieszenie miał napchane narzędziami chirurgicznemi, różnemi nożami, igłami, piłkami, aby być zawsze gotowym do wszelkiéj operacyi, którą odbywał z prawdziwym zapałem, ale i największą obojętnością—i kiedy biedny chory pod nożem chirurgicznym krzyczał w niebogłosy, on zwykle wówczas z najzimniejszą krwią dalej czynność swą prowadził.

Mimo jednak tego, był to człowiek jak najpoczciwszy, a złym tylko głównie dla siebie; że zaś i wielkiéj zdatności i nauki odmówić mu nie można było, w podróży więc po kraju, towarzyszyło mu kilku uczniów kształcących się na przyszłych doktorów w uniwersytecie Warszawskim, w obecności których prowadził wszystkie operacye.

Otóż pewnego dnia uczony nasz lekarz znajdował się w jednem z naszych miast większych. Dzień był parny, a że tylko co powrócił z miejscowego szpitala, w którym odbył kilka nader trudnych i męczących operacyj, siedział znużony pod oknem, spoglądając na różnych przechodniów uwijających się ulicą.

Niedaleko od niego stało kilku młodych ludzi, cichą prowadząc gawędę, a przy stoliku siedział równie młody człowiek, pilnie czytając jakąś książkę, gdy w téj chwili dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju, i wszedł służący, oznajmiając, że przyszedł jakiś chory, pragnący się rozmówić z doktorem.

Niedługo drzwi się do pokoju uchyliły, i ukazał się w nich człowiek już blisko lat pięćdziesiąt mieć mogący, siwy, poważny, z owiązaną troskliwie szyją, w ubiorze duchownego świeckiego, z kijem w ręku, i zakurzonemi butami. Wszedłszy, ukłonił się wszystkim obecnym z przyzwoitą godnością, i wymówiwszy znane pozdrowienie *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, zapytał się, czy zastał doktora i chirurga zarazem, co przybył z Warszawy dla obejrzenia miejscowego szpitala?

— Ja nim jestem— odrzekł doktor, powstając—co pan żądasz?

— Jestem proboszczem z wioski, od miasta tutejszego o dwie milki oddalonéj. Przepraszam pana doktora, że cokolwiek opóźniłem się, i żądać muszę nadzwyczajnego posłuchania, ale ja nie mam koni, parafia moja biedna, nie chciałem więc biedaka żadnego odrywać od ciężkiéj pracy w polu, boby to mogło przynieść mu szkodę, więc przyszedłem piechotą.

— To dla mnie wszystko jedno — odrzekł niecierpliwie doktor, i proszę o przystąpienie jak najspieszniejsze do interesu, który księdza proboszcza do mnie sprowadził.

Proboszcz spokojnie, ale ze zdziwieniem spojrzał na mówiącego i po chwilce rzekł:

— Przebacz panie, ale twoja niecierpliwość tak niezwykła w doktorze, wskazuje mi, że tu niemiłym jestem gościem, dlatego wskaż mi czas właściwy, a wrócę się do domu, choć przyszedłem piechotą, i stawię się powtórnie w dniu i godzinie przez ciebie oznaczonej.

— Ale nie w tym celu zrobiłem moję uwagę,— odezwał się doktor cokolwiek zmieszany, zatrzymując zabierającego się do odejścia proboszcza,— mnie idzie tylko o pośpiech; ale cierpliwość przyrzekam i z pewnością dotrzymam przyrzeczenia.

— Ślicznie dziękuję panu doktorowi — odrzekł duchowny — więc przystępuję do rzeczy. Otóż przed pół rokiem poczęła mi rość jakaś narośl na prawéj stronie szyi; przez czas powiększając się, doszła aż po samą szczękę, i przed miesiącem przemieniła się w rodzaj wrzodu nader bolesnego. Ponieważ mój ojciec i brat starszy, mimo wszelkich leczeń, maści, i operacyj pomarli na zupełnie podobną słabość, więc ja postanowiłem nie używać żadnéj pomocy lekarskiéj, tylko zdać się na wolą Pana Boga, i czekać, co mi w miłosierdziu swojem przeznacył, śmierć lub życie. Gdy jednak z dniem każdym nikła nadzieja ocalenia, a ja przekonany o bliskiéj śmierci, przygotowywałem się do stawienia się godnie przed obliczem Pańskiem, poczciwi parafianie dowiedziawszy się o stanie mego zdrowia, wymogli na mnie przyrzeczenie leczenia się, i obok ufności w miłosierdzie Boga, przyjęcie pomocy ludzkiéj. Jakkolwiek przekonany jestem, że pomoc ta na nic się nie zda, postanowiłem prosić pana doktora, o stanowcze zdanie, czy ludzka pomoc zdać się mi może na co, czy mnie powróci do dawnego stanu zdrowia?

Gdy mówiący umilkł, doktor spojrzał na niego badawczo, a ujrzawszy twarz jednakowo poważną, spokojną, jak gdyby przedmiot rozmowy był nader zwyczajny, i dotykał rzeczy drobnéj, odnoszącéj się do spraw potocznego życia, potrząsł głową i po chwilce odezwał się:— Pokaż pan cierpiące miejsce.

Kiedy chustka i różne owiązania z szyi zdjętemi zostały, doktor podsunął chorego pod światło, przyjrzał się ranie, obmacał, potrząsł wreszcie głową, i przywoławszy stojących opodal uczniów, wskazując palcami, mówił z najzimniejszą krwią, jakby wykład swój objaśniał na rysunku:

— Oto panowie! widzicie, to żyły, ściągacze, muszkuły i arterye, o których wczoraj obszerniéj mówiliśmy. W ranie téj wszystkie najżywotniejsze części już są zaatakowane—i przy tych słowach każdy szczegół oddzielnie wskazywał palcem, objaśniał cel każdego, wzajemne ich między sobą stosunki, wpływy, działanie, ich ważność, i stopień zniszczenia dokonanego.

Przez cały długi dosyć czas tego wykładu praktycznego, proboszcz mimo bolesnych i nader niedelikatnych dotykań bolącego miejsca, stał zupełnie spokojnie, ani razu nie okazawszy najmniejszego zniecierpliwienia, lub oznaki bólu. Raz tylko, kiedy doktor wskazując najbardziéj cierpiące miejsce i powiadając, że to jest punkt najważniejszy i zarazem najboleśniejszy, nagle palcem go nacisnął, biedny proboszcz lekko syknął; alę w téj samej chwili wrócił do dawnéj spokojności, a doktor spojrzał się na chorego, i lekko uśmiechnął.

Kiedy stan rany zbadany już został, doktor przyjrzał się jéj jeszcze raz pilnie, i znalazłszy zapalenie ogólne, psucie się ciała rozpoczęte, rzekł:—Operacya zapóźna, już żyć nie możesz księże proboszczu!

I to z najzimniejszą krwią powiedziawszy, doktor oblał palce wodą, i zaczął je obcierać ręcznikiem.

Proboszcz uwolniony zpod ręki uczonego, zabrał się zaraz do przylepiania plastrów i owijania rany, i z równą spokojnością jak przedtem, jakby nie wyrok śmierci, ale jakąś nic nieznaczącą wiadomość odebrał, ukłonił się z tą samą godnością, i z jednakową zawsze powagą rzekł:

— Dziękuję bardzo panu doktorowi za dane mi objaśnienie, przynajmniéj teraz wiem już napewno, czego się mam spodziewać, i unosząc wdzięczność w sercu mojem, którą zachowam aż do ostaniéj chwili życia, pójdę się przygotować na drogę wieczności, w którą mi w miłosierdziu swojem Bóg wszechmogący udać się rozkazuje. Żegnam wszystkich panów dobrodziejów, i przepraszam, najpokorniéj przepraszam za zajęcie czasu, ale temu winni moi

poczciwi parafjanie, i gdyby nie oni.... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Tyle było godności w mowie i w poruszeniach zacnego kapłana, taka że słów jego i z twarzy przebijała powaga i wyższość nadzwyczajnego człowieka, takie męztwo prawdziwego chrześcianina, że przytomni odbytej rozmowie, uderzeni jakby jéj świętością, po oddaleniu się kapłana nie śmieli się nawet odezwać, i zachowując głębokie milczenie, każdy się zagłębił we własnem dumaniu. Po małéj chwili, kiedy chory kapłan już miał wychodzić na ulicę, doktor zerwał się z siedzenia, i wybiegając do przedpokoju, jakby uderzony nową myślą rzekł:

— Księże Proboszczu! operacya może cię uratować, ale będzie nader bolesną, i bardzo niebezpieczną; jeżeli masz w sobie dosyć odwagi, to przyjdźże jutro do miejscowego szpitala, zapytaj się o mnie, a zaraz przystąpimy do rzeczy. Jakże, zgadzasz się księże proboszczu?

— Bóg kazał życie szanować, odrzekł z powagą kapłan, i dbać o jego zachowanie. Jeżeli więc zaręczysz mi doktorze, podobieństwo udania się operacyi, a tem samem i nadzieję ocalenia życia, w takim razie masz moję rękę, z przyrzeczeniem, że z cierpliwością poddam się téj nowéj boleści; bo ufając Bogu, wierzę, iż w miłosierdziu swojem obdarzy mnie potrzebną siłą i wytrwałością.

Doktor jeszcze raz obejrzawszy ranę, dał żądane zapewnie, pożegnał się z kapłanem, a z niespokojnością potem przechadzając się po pokoju, po długiem milczeniu odezwał się:

— Panowie! pierwszy to wypadek w mojéj kilkoletniéj praktyce, w którym spotkałem się z męztwem, jakiego napróżno szukam w człowieku. Kapłan ten, przyznam się panom otwarcie, że dziwne na mnie zrobił wrażenie, i jeżeli rzeczywiście jest takim, jakim się okazuje.... ale cierpliwości, czas wyjaśni wszystko.

Na drugi dzień kapłan na zamówioną godzinę stawił się w oznaczonem miejscu. Z jednakową powagą i spokojem czekał przy wchodzie na przybycie doktora, a ujrzawszy go, uprzejmie powitał i rzekł:

—Stawiłem się na rozkazy pańskie.

— A więc do dzieła szanowny kapłanie — odrzekł doktor, panowie! pomóżcie mi.

Rozłożono narzędzia chirurgiczne, zrobiono stosowne przygotowania, doktor zakasał ręce aż po łokcie, a gdy z obnażoną szyją chory zasiadł na podanem krześle, przymknął oczu i widać, że się modlił, bo poruszał niewyraźnie ustami, i całą twarz dziwnie wypogodził, jakby duszą wzniósł się do stóp Przedwiecznego i błagał Go o opiekę nad sobą. Otoczony uczniami, doktor przystąpił do czynności, a gdy pierwsze dał cięcie, proboszcz odezwał się cichym, ledwo dosłyszanym sykiem, i na twarzy jak błyskawica, mignął ból i cierpienie. W téj samej jednak prawie chwili, twarz nanowo się uspokoiła, a choć operacya była dosyć długa, choć operujący dla nauki uczniów objaśniał miejsca najniebezpieczniejsze, i choć zbólu pot grubemi kroplami spływał kapłanowi po twarzy, on jednak ani jednem zmarszczeniem nie dał uczuć, ile cierpi, i jakich mąk ciała doświadcza. Przy końcu operacyi biedny kapłan nie mógł już wytrzymać, zbladł jak ściana, i zemdlał. Operacya jednak nadspodziewanie powiodła się; chorego przeniesiono do oddzielnego pokoju, otoczono go największą starannością, a doktor z widoczną troskliwością zajął się chorym, i po kilka razy na dzień odwiedzał, zawsze przegląd swój naprzód od niego zaczynając.

Przez cały czas leczenia, które trwało kilka tygodni, doktor unikał wszelkiéj w tym przedmiocie rozmowy, a gdy stan choroby przyszedł do tego stopnia, że bez obawy zaszkodzenia proboszcz mógł wracać do domu, doktor oświadczył mu tę miłą nowinę, ciesząc się, że sztuką swoją życie tak mężnego człowieka uratował.

— I ja się równie cieszę — odrzekł na to proboszcz, ściskając podaną sobie rękę, żem poznał tak zdatnego i uczonego doktora. A że jestem biedny, i wynagrodzić pana stosownie nie mogę, przyjmij więc zapewnienie mojéj wdzięczności, którą Bóg pozwoli, że ci się wypłacę za trudy, jakie podjąłeś około mego wyzdrowienia.

Doktor na wyrażenie obietnicy wdzięczności, lekko się tylko uśmiechnął, i złożywszy ukłon podziękowania, odezwał się:

— Mój księże proboszczu, zanim się rozstaniemy i to może na zawsze, powiedz mi, co cię przywiązuje do życia, o które zdajesz się być zupełnie obojętnym?“

— Miłość bliźniego panie! — odrzekł proboszcz, która uczy, że człowiek nie dla siebie samego tylko żyje, a ja posiadając przywiązanie moich parafian...

—Więc poświęcasz się dla nich? — rozumiem przerwał doktor, i z pewnym zapałem mówił daléj, — ale powiedz mi, kto cię nauczył nie zadrżeć przed pewną nieochybną śmiercią, kto ci dał siłę do wytrwania z takiem męztwem, z taką cierpliwością bolesnéj operacyi?

— Kto nauczył? — powtórzył kapłan, i nachylając z pokorą głowę, a palcem wskazując w niebo, mówił dalej uroczyście.

Bóg wszechmogący, i wiara nieograniczona w Jego miłość, mądrość i miłosierdzie. Kto więc ma wiarę w miłość i mądrość tak Wszechmocnego Boga, czyż się może lękać zbliżającéj się śmierci?

Na tem się skończyła rozmowa; kapłan wrócił do swoich obowiązków, a doktor wyruszył dalej w podróż, i wreszcie ulegając różnym okolicznościom, osiedlił się stale w mieście, w którem go naprzód poznaliśmy. Od tego jednak czasu uważano, że się znacznie odmienił; o proboszczu nie zapominał, nazywając go zawsze zacnym człowiekiem, i z piersi jego częściej wydobywało się pobożne westchnienie, niż lekceważenie ludzi.

I tak zeszło z lat dziesięć — uczony doktor gdzieś się błąkał po świecie, proboszcz zdrów i czerstwy spełniał swoje obowiązki, kiedy pewnego dnia zrana, przy odgłosie trąbki pocztowej przybył list sztafetą z Warszawy, i zawierał tylko te słowa:

— Proboszczu! ja umieram, ale bez ciebie spokojnie dni swoich nie zakończę. Przybywaj więc, pokrzep duszę, jak ja niegdyś uzdrowiłem twoje ciało. *Doktor*.....

Choć list pisała inna ręka, ale podpis był własnoręczny znanego nam doktora. Proboszcz więc bezzwłocznie, w godzinę, pędząc ekstrapocztą, już się znajdował na drodze ku Warszawie.

Chory nędzny, wychudzony, leżał na łożu boleści, niespokojnie przerzucając rękoma, i często dopytując się o przybycie proboszcza. Kiedy ten pokazał się w progu, chory wyciągnął rękę, i rzekł cichym głosem:

— Przyjacielu! ratuj duszę, bo ona więcéj chora niż ciało.

I rozpoczęła się spowiedź, któréj przed nikim nie chciał odbyć, tylko przed jednym proboszczem, i dlatego z tak daleka musiano go sprowadzić. Po kommunii i namaszczeniu olejami na drogę wieczności, chory znacznie się uspokoił, twarz mu się wyjaśniła, z największą przytomnością objawiał ostatnie woli swej rozporządzenie, proboszczowi darował swój portret, dla biednych parafii przeznaczył do rozdania sto dukatów, resztą zaś rzeczy obdarzył swych domowników. Proboszcz już ani na krok nie odstępował chorego, i rozmawiał z nim, albo się modlił na przemiany. Na parę godzin przed śmiercią doktor całując i przytulając rękę proboszcza do piersi, rzekł przerywanym głosem:

— Dziękuję ci zacny kapłanie! za pamięć o mnie,... tyś mnie pogodził z ludźmi i z samym sobą, i tyś nauczył, że największy rozum ludzki względem Wszechmocnego Boga, to malutkie ziarnko piasku względem gór olbrzymich, to kropelka wody względem mórz i oceanów, i jak Bóg jest wielkim, potężnym i niepojętym, tak człowiek powinien kochać wszystko przez Niego stworzone, uwielbiać Go w każdej tak wielkiéj jak i drobnéj rzeczy, i być całe życie pokornym w duchu. O! jakaż szkoda, że cię tak późno poznałem!

We trzy dni potem, nowa mogiła przybyła na Powązkach, a proboszcz chociaż smutny, ale równie spokojny i zamyślony, wracał do domu i swych poczciwych parafian.

Kometa w 1857 roku.

Kłamstwo, to owa bańka mydlana,
Co wzdęta podmuchem dzieci,
Zrazu w urocze barwy przybrana,
Wciąż w górę leci, i świeci...
Lecz gdy się światłem łudzącem mieni,
Bez śladu pęka w przestrzeni...
A *dzieci* z siebie będą się śmiały,
Że wiarę w jéj trwałość dały.

Żeby wam, kochani Czytelnicy, objaśnić ten wierszyk, do którego mi myśl podało puszczone w świat zmyślenie niektórych zagranicznych nibyto uczonych, że w roku bieżącym jakaś straszna kometa ma się uderzyć z ziemią i spowodować koniec świata, muszę wam przytoczyć jednę nauczającą pogadankę, któréj przypadkowo byłem świadkiem.

Do mieszkania przyjaciela mego, tu w Warszawie, przybył przed kilku dniami w interesie meldunkowym stróż domowy, który już to z tej przyczyny, że był stary wojak, już też, że lubił i umiał dość rozsądnie pogawędzić, miał ten wzgląd tak u niego, jak i u innych lokatorów tego domu, że chętnie z nim w rozmowę wcho-

dzili. Otóż, załatwiwszy ów interes, potarł się on swoim zwyczajem ręką po czole i zagadnął:

—Bieda podobno, proszę pana, wszystkich nas czeka! Gazety piszą o jakiejś strasznéj komecie, a ludziska gadają coś niedobrze...., podobnoś to doczekaliśmy się w tym roku skończenia świata!

Mój znajomy,pan Jan, który, wspomnę wam nawiasem, uchodzi i słusznie za uczonego człowieka, rozśmiał się z téj mowy, i tak przemówił:

— Oj! stary, stary! myślałem, że masz więcéj rozsądku od tych, którzy to niedorzeczne zmyślnie rozszerzają —wierzysz takim rzeczom, które tylko zupełnie ciemni i zabobonni ludzie powtarzają, a z których, doprawdy naśmiaćby się trzeba.

— Mój panie! rzekł stary Tomasz, już to panowie zawsze z nas się śmiać gotowi, ale powiem bez urazy, że nadto daleko rozumem sięgać chcecie. Ja przyznam się panu, nie wierzę lada jakim słowom, ale kiedy już wszyscy prawie o czemś z pewnością mówią, toć trudno znowu być niedowiarkiem. I powiem prawdę, że nieraz się już śmierci z zimną krwią zajrzało w oczy, ale teraz, to strach mnie przejmuje na tę myśl, aby ludzie czegoś nie wygadali.

Pan Jan nie uraził się bynajmniéj ostrą przymówką starego i gadatliwego wiarusa, który mówił, jak czuł, ale owszem spoglądając nań łagodnie, tak się do niego odezwał:

— No, mój Tomaszu! nie sądźcie tak żywo o nas uczonych; i my mamy serca, i my wierzymy w to, co jest niezawodnem, ale łatwiéj też odróżnić możemy prawdę od fałszu. Żeby was więc wywieść z błędu i śmiesznego przestrachu o tém skończeniu się świata w tym roku, muszę z wami Tomaszu! obszerniéj pomówić, żebyście wy znowu ciemniejszych od siebie na dobrą sprowadzili drogę. Usiądźcie więc i posłuchajcie:

Zapewne zgodzicie się ze mną na to, że nic tak ludzi nie trwoży, a przynajmniéj nie zadziwia, jak to, co się bardzo rzadko przytrafia. Gdybyśmy naprzykład to słońce nasze nie codziennie, ale co kilka lub kilkanaście i t. d. lat widzieli, to niezawodnie wieluby z nas na nie z takim przestrachem spoglądało, jak na te ogniste komety, które tak rzadko i w tak dziwnym kształcie nad nami się pojawiają. Jednak aby was więcéj z niemi zapoznać, muszę was wprzód jeszcze w krótkości objaśnić o słońcu gwiazdach i ziemi naszéj.

Uczeni ludzie oddawna już przekonali się, że w téj niezmierzonéj przestrzeni świata, którą niebem nazywamy, słońce, które jest przeszło milion razy większe od ziemi, obraca się od wieków w miejscu, a naokoło niego ziemia nasza wraz z księżycem i z wielu gwiazdami ustawicznie po różnych kołach krążą, o czém, jeżeli czytujecie Czytelnię Niedzielną, przekonać się mogliście, gdyż w niej było opisane (n. 10 Czytelni z r. 1856) o naszym sławnym rodaku, Koperniku, i o tem, czego on pierwszy świat cały nauczył.

Ale wracając do rzeczy, nadmienię wam, mój Tomaszu, że Pan Bóg, ów najmędrszy budowniczy świata całego, tak rozkazał tym wszystkim ciałom niebieskim, jak ziemia, księżyc i wielu innym zwanym planetami, krążyć, aby jedno drugiemu na zawadzie nie stało. Podobne drogi około słońca, z których zboczyć niewolno, mają i komety, które od tysięcy lat pojawiają się śród nieba, i zawsze w porządku im przepisanym opuszczają nas, idąc w dalszą przestrzeń, która jest niezmierzona.

— Tak, proszę pana, odezwał się z namysłem stary Tomasz, dobrzeby to temu było wierzyć, ale bez urazy, spytałbym pana, któż to tam o tém wszystkiem z pewnością wiedzieć może? Bóg tylko chyba jeden, który ludziom nie każe być znowu tak mądrymi, boby zanadto w pychę urość mogli, jak ci, co to kiedyś wieżę Babel do nieba wybudować chcieli, i otrzymali za to słuszną karę.

—To wcale co innego, mój Tomaszu; tam ludzie, chcąc się sprzeciwiać Boskiéj mocy, budowali ten gmach wielki, aby się od powtórnego potopu uchronić, ale tu, to mogę was zapewnić, że Bóg na tych z gniewem nie patrzy, którzy śledzą z pilnością Jego niebieskie utwory, aby rozumem swoim drugim nieść korzyść, i coraz więcéj sławić wielkość i wszechmocność Boga. Że zaś ludzie wiele już rzeczy śród nieba odkryli, i wiedzą mniéj więcéj, jak tam się co dzieje, to możecie się przekonać z tego już tylko, gdy wspomnicie, jak na całym świecie ludzie uczeni przed kilku laty naprzód przepowiedzieli co do minuty nawet, owo pamiętne nam całkowite zaćmienie słońca. Ale wracając do rzeczy, to wspomnieć wam jeszcze trzeba, że komety, których jest tysiące, są o miliony mil od

nas odległe i dlatego, choć bardzo wielkie w rzeczywistości, nam wydają się małemi; corocznie też po kilka krążą nad nami i zachodzą daléj w przestrzeń świata, a z nich my tylko bliższe niekiedy gołem okiem dojrzeć możemy—lecz uczeni, co się trudnią nauką o gwiazdach, czyli astronomowie, widzą po kilka corocznie przez bardzo powiększające szkła.

—Przepraszam, odezwał się Tomasz, że przerywam, ale zkądże to ludziom przyszło do głowy, że w tym roku ma być kometa, i że się o ziemię uderzy, i czyto mogą także ludzie naprzód o tem wiedzieć?

— To też posłuchajcie, do tego właśnie zmierzam. Nikt jeszcze nie doszedł, wiele milionów mil zawierają kołowate drogi komet, bo my tylko małą cząsteczkę ich dróg nad sobą widzimy, gdy przechodzą blizko słońca; ale doszli już uczeni przez ciągłe zapisywanie tego, co widzieli, że jedne komety pojawiają się co lat kilka, inne co kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet i kilka set lat—a mogli dojść tego, jeżeli powiększającemi szkłami przekonali się naprzykład, że kometa jakaś, która już raz kiedyś była widziana, pojawiała się znowu w tym samym kształcie, naprzykład co lat 6, i tak samo zawsze wyglądała. Otóż więc przepowiadają, że około roku 1860, a może w 1857 roku pokaże nam się bardzo świetna kometa, widziana już nieraz dawniejszemi czasy. Jednakże jakiś zagraniczny nibyto uczony, napisał książeczkę, w której dowodził, że w tym roku ma się pokazać taka kometa, która przez uderzenie zniszczy ziemię naszę, a który zapewne dla zysku, to jest, aby jego książeczki prędzéj były dla zaspokojenia ciekawości rozkupywane, chwycił się tego kłamstwa. To jego mylne doniesienie powtórzyły niektóre pisma, i ztąd przechodząc z ust do ust wzbudziły trwogę w ciemnym ludzie, że nastąpi koniec świata. Ale w kilku słowach przekonacie się, jak to jest fałszywa wiadomość i naganne kłamstwo.

Najprzód, jak wam powiedziałem, Pan Bóg wszystkiemu na świecie najmędrzéj przeznaczył od tysięcy lat jeden i ten sam porządek; boć widzimy, jak regularnie dzień po nocy i nawzajem, jak znowu wiosna po zimie, po wiośnie lato następują. Tak samo też i kometom z wytkniętych im dróg przez Przedwiecznego zejść niewolno, lub stać innym tworom niebieskim na zawadzie; a tem samem i ta kometa, która ma się w tych czasach pokazać, a która już od wieków pojawiając się, o miljony mil była od ziemi odległą, nie może się tak zbliżyć do ziemi, aby w niej takie zniszczenie, o jakiem ludzie gadają, sprawić mogła. Powtóre, pismo Ste wyraźnie nas uczy, i w co wszyscy wierzymy, że przy końcu świata nietylko ziemia, ale słońce, księżyc i gwiazdy znikną i w nicość się obrócą na jedno słowo Boga, tak jak z nicości wyszły. Możeż więc być koniec świata przez zniszczenie tylko naszéj ziemi i przy nienaruszeniu słońca, gwiazd i innych tworów niebieskich? Możeż to być, aby Bóg, który jednem słowem swojem świat cały wyprowadził, iżby do zniszczenia go używał jakichś tam komet? — Nie zaprawdę, Stwórca Wszechmocny takich środków nie potrzebuje, koniec świata musi nastąpić równie zgodnie z jego wolą, jak był i początek Jego. Grzechemby więc było wielkim sądzić inaczéj.

— Mój panie kochany, nie umiem nawet podziękować panu za tę łaskawość w tak jasném objaśnieniu mnie o tem wszystkiem, na co my prości dziwnemi spoglądamy oczyma; a choć przyznaję sam już teraz, że inaczéj być nie może, ale jeszcze jedno zapytanie ośmielę się zadać panu:—dlaczegoż to komety poprzedzają zawsze wielkie nieszczęścia na świecie, bo zdawien dawna mówią, że one są znakiem i przepowiednią kary Bożéj, i dlatego też jak rózgi ogniste nam się pokazują.

—Komety, podobnie jak nasza ziemia, księżyc i wiele innych ciał niebieskich, zwanych planetami, nie mają własnego światła, ale tylko wydają się nam dlatego jasnemi, że je światło słońca oświeca; podobnie jak przedmioty różne na ziemi, świetnemi się nam wodadzą, gdy do nich światło słoneczne dochodzi. Komety niektóre (bo i to wam trzeba wiedzieć, że nie wszystkie) odróżniają się jeszcze tém, że mają tak zwane ogony, czyli miotły w jednę stronę zwrócone—te miotły zdają się być w massie swojéj podobnemi do powietrza otaczającego ziemię z tą jednak różnicą, że nasze powietrze jest nierównie gęstsze, jak owa mgła otaczająca komety; to znowu ztąd wnosić można, że jeżeli za ową miotłą komety znajduje się jaka gwiazda na niebie, tę gwiazdę doskonale przez tę mgłę widzimy.

Że komety większe rzadko są widzialne, że są szczególniejszego kształtu i zawsze różnego od innych ciał niebieskich, na które co noc patrzymy; ztąd poszło, iż ludzie patrzeli na nie, jako

na szczególne zjawiska; gdy znowu trafiło się często, że razem z ukazaniem się takiéj komety, mogło i na ziemi zajść jakie większe zdarzenie np. wojna, susza, mór i różne choroby, ztąd to lud nieoświecony, nie umiejąc naznaczyć tym zdarzeniom innéj przyczyny, przypisywał je zjawionéj komecie.

— Ale nim skończę opowiadanie, rzekł daléj pan Jan, zwrócę się jeszcze do waszego zapytania i do owej przepowiedni o końcu świata, bo mnie to z jednéj strony bawi, a z drugiéj znów zasmuca, zważając, że z tego kłamstwa mogą wyniknąć nie dla jednego złe skutki. Otóż przytoczę wam, że zawsze, a mianowicie dawniéj, gdy więcéj ludzi zabobonnych było, pojawienie się ognistéj komety z ogonem, strachem przejmowało lud ciemny, a to tém więcej, im dłużéj kometa nad ziemią przechodziła. Przed 400 na przykład laty taka trwoga na świecie z tego względu powstała, że lud opuściwszy ręce, oczekiwał przez kilka miesięcy w odrętwieniu prawie końca świata, i z bojaźnią spozierał w górę, rychło li kometa nadzwyczajném swém światłem, bo przy niem w nocy czytać można było, spadnie na ziemię i spali ją do szczętu. Ale cóż za skutki z tego się okazały? Oto kometa poszła sobie daléj a lud spędziwszy czas drogi na próżnowaniu, opuściwszy warsztaty i zaniedbawszy rolę, marł z głodu, który sprowadził gorszą jeszcze klęskę, bo mór powszechny.

Ale, może ja wam zadługo już prawię, mój Tomaszu, rzekł opowiadający, a wy może mnie tylko jedném uchem słuchacie, albo też w duszy myślicie inaczéj?

— A! uchowaj mnie Boże, odpowiedział z zajęciem Tomasz; stare wiarusy mój panie, układać się nie umieją — a co do pańskiéj mowy, to przyznam się, że trzebaby chyba nie mieć piątéj klepki w głowie, żeby jéj nie zrozumieć. A tożto lat sześćdziesiąt kilka domierzam, a jeszczem nie słyszał takiego jasnego opowiadania o tych wielkich stworzeniach niebieskich, na które my ciemni więcéj nic, tylko patrzeć umiemy. Bo to zwyczajnie, my prości jak wiemy, tak gadamy, ale teraz to i ja się z tych naśmieję, co nas straszą owym ogonem komety, i choć w części rozpowiem im to, com od pana usłyszał.

— Tak, mój Tomaszu, kończył pan Jan, Pan Bóg nie dla strachu naszego stworzył komety — ma ten Pan Wszechmocny prostsze środki do ukarania nas za złe życie, czego zawsze doświadczamy, jak źle żyjemy. A jak wszystko na świecie zacząwszy od najdrobnieszéj trawki ma swój cel i przeznaczenie, tak też i komety nie dlatego krążą w przestrzeni niebieskiéj, aby nas straszyły, a tém więcéj zaczepiały ziemię naszą.

Od Redakcyi Czytelni Niedzielnéj.

Zawiadamia się, iż Czytelnię Niedzielną prenumerować można:

W Redakcyi Czytelni, przy ulicy Chmielnéj pod Nr. 1527.

W Kantorze głównym Czytelni n. 391; nadto w kantorach, które utrzymują panowie:

1. Smoliński kupiec— ulica Marszałkowska nr. 1396.
2. Błaszkowski kupiec—ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 395.
3. Betcher kupiec— ulica Krakowskie-Przedmieście nr. 404.
4. Sztebler księgarz— Nowy-Świat nr 1319, 20, 21.
5. Potrzebski kupiec —ul. Nowy-Świat nr. 1260.
6. Szuejder —ul. Nowy Świat nr. 1249.
7, Schmidt i Kwaśniewski —ul. Elektoralna nr. 785.
8. Tybuchowski kupiec – ul Nowy-Świat nr. 1305.
9. Staliński kupiec —ul. Nowy-Swiat nr. 1274/5a.
10. Dąbrowski —ul. Sto-Krzyzka nr. 1376.
11. Rutsch kupiec —ul. Książęca nr. 1752.
12. Radzińska h. nor. — ul. Krakowskie-Przedmieście nr 407.
13. Krajewski --ul. Mazowiecka nr. 1352*b*.
14. Koelichen —ul Długa nr 59/56.
15. Ciechanowski —ul. Podwal nr. 497*a*.
16. Tytz —ul. Miodowa nr. 489.
17. Kryszka —ul Mostowa nr 167.
18. Natanson księgarz —ul. Krakowskie-Przed. nr. 452.
19. Lewenhard —ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 375.
20. Daszkiewicz— ul. Długa.
21. Rozmanith —ul. Sto-Jańska nr. 10.
22. Rejch —ul. Przejazd nr. 644.
23. Klukowski księg. — ul. Miodowa nr. 495*a*.
24. Bysiński —ul. Wierzbowa nr. 413*a*.
25. Kędzierzawski —ul. Długa nr. 587.
26. Zawadzki księg. —ul. Krak-Przed. nr. 389.
27. Szafir —ul. Freta nr. 280.
28. Wiśniewski—ul. Nowe miasto nr. 326.
29. Grabowski — ul Graniczna nr. 968.
30. Szuster --ul. Wierzbowa nr. 473*b*.
31. Szczyciński —ul. Wierzbowa nr. 473*c*.
32. Wojczyński – ul. Wierzbowa nr 614*b*.
33. Rakocy —ul. Wierzbowa nr. 473*b*.
34. Neuding —ul. Żabia nr. 950*b*.
35. Friedlein —ul. Senatorska nr. 460.
36. Kalinowska— ul. Senatorska nr. 463.
37. Swierczewski —ul. Leszno nr. 671*b*.
38. Zakaszewski — ul. Krak-Przed. nr. 391.

O każdym przybywającym kantorze w swoim czasie donoszonem będzie.

Oprócz tego podaje się do wiadomości, iż kompletne exemplarze z roku z. 1856, nabywać można w Redakcyi codziennie od godziny 9 do 11 rano.

Pojedyńcze numera czytelni, tak z roku przeszłego, jak i bieżącego nabywać można jedynie w Redakcyi.

Sprostowanie.

W nr. 12 Czytelni na stronicy 94 w 1ej szpalcie, w wierszu 15 od góry po wyrazach *średnicy i*, ma być nie $1/2$, lecz $1\,1/2$; nadto w wierszu 37 zamiast *zasianiu*, ma być *przesadzeniu*.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 13 (25) marca 1857 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*